

O ubogim gospodarzu i bursztynowych skarbach

Od wielu wieków, jak tylko ludzka pamięć sięga, pasma wzgórz, ciągnących się w okolicach Polanowa, zamieszkiwał ród karzełeków. Mieszkały one pod ziemią i posiadały niezliczone skarby, którymi czasem dzieliły się z ludźmi. Niewiele jednak miało szczęścia oglądać je na własne oczy, ponieważ były bardzo łekliwe i w ogóle prowadziły tajemniczy tryb życia.

Lato tego roku było suche, upalne. Ledwo zakończono sianokosy - już trzeba było zaczynać żniwa. Mieszkańcy Przybrodzia żwawo zabierali się do pracy. Głomacz - chłop robotny i zapobiegliwy - już od świtu znajdował się na swym przyległym do wzgórza polu. I szerokim zamachem ramion odkładał jeden pokos za drugim, aż ostrze kosy błyskało w słońcu. Robota szła mu rażno - był zadowolony, że zboże w tym roku udało się nad podziw i plony będą jak nigdy. Nie zagraża więc głód, a gospodarstwo, choć niewielkie, przecież rodzinę wyżywi.

Zbliżało się południe. Właśnie na drodze, prowadzącej od wsi, ukazała się sylwetka kobiety zmierzającej wyraźnie w jego kierunku.

- Pewnie Borzyna niesie obiad! - domyślił się Głomacz, lecz nie przerywał pracy, choć upał dokuczał mu niemiłosiernie, a rozłożyste buki wabiły cieniem i chłodem.

Nie mylił się - była to rzeczywiście Borzyna, jego żona. Szła prosto na pole, niosąc w ręku gliniany garnek, a w nim smakowitą grochówkę ugotowaną na wędzonym boczk.

- Obiad przyniosłam ! - zawołała z daleka.

Głomacz na chwilę wyprostował plecy.

- Postaw garnek obok sosny! – odpowiedział. - Muszę najpierw skończyć pokos.

- Dzieci czekają ... !

- Więc idź do domu. Gdy będę wracał z pracy, zabiorę garnek

- Nie zapomnij!

Kobieta postawiła garnek pod sosną i poszła z powrotem do wioski. Kilka razy obejrzała się za siebie, a potem znikła za pagórk.

W tym czasie Głomacz przerwał pracę. Położył kosę na ziemi, otarł pot z czoła i wolnym krokiem ruszył w kierunku lasu.

Nagle zatrzymał się zdziwiony. Spostrzegł, że w miejscu, gdzie Borzyna postawiła garnek z zupą, coś się porusza. Z daleka nie mógł jednak rozróżnić kształtów - wydawało mu się tylko, że owo coś ma jak gdyby czerwoną barwę, bardzo zresztą niewyraźną.

- Czyżby to lis dobierał się do mojej zupy? - pomyślał i schował się w zbożu, po czym zaczął się skradać niewidoczną wśród kłosów miedzą.

Był już bardzo blisko, gdy znowu zatrzymał się zdumiony. Oto przy garnku ujrzał kilka małych ludzi, ubranych w czerwone kurtki i takie same czapeczki z długim szpicem. Wszyscy oni z zainteresowaniem skupili się wokół garnka i - unosząc

pokrywkę - zaglądali do środka. Równocześnie głośno pociągali nosami i wachali wydobywającą się parę.

- Wiecie, że to wygląda całkiem dobrze! - rzekł jeden z nich.

- To pachnie wspaniale! - dodał drugi

Inny jeszcze ujął ręką łyżkę, zanurzył ją w zupie, a potem ostrożnie spróbował.

- Słuchajcie - krzyknął uradowany - to również doskonale smakuje!

Przez chwilę radzili o czymś, a potem otoczyli garnek. Każdy po kolei sięgał łyżką do środka, zjadał jej zawartość i następnie przekazywał łyżkę innemu, po czym wracała ona znowu do pierwszego. Oblizywali się przy tym i cmokali z zachwytu.

Głomacz starał się nie czynić najmniejszego ruchu, aby nie spłoszyć mimowolnych współbiedników i rozbawionym wzrokiem obserwował ich niezwykłą krzątaninę. W końcu jednak musiał pomyśleć również o sobie. Podniósł się więc i stanął za nimi, zakładając ręce do tyłu.

- A cóż to za liski dobrały się do mojego obiadu? - zapytał niespodziewanie.

Wśród karzełków zapanował popłoch. Rzuciły łyżkę i w mgnieniu oka zniknęły w pobliskich krzakach. Głomacz roześmiał się i w tej chwili spostrzegł na trawie jakiś czerwony przedmiot. Schylił się więc i wziął do ręki czerwoną czapkę, którą jeden z karzełków zgubił w czasie ucieczki.

- Marny to zastaw - rzekł do siebie - ale lepszy rydz niż nic.

Schował do kieszeni karzełkową zgubę, po czym usiadł pod sosną i najspokojniej zabrał się do jedzenia resztki zupy, która pozostała w garnku.

Właśnie skończył obiad i oblizwał łyżkę, gdy nagle poczuł, że ktoś go z tyłu ciągnie za koszulę. Obejrzał się - za nim stał jeden z karzełków bez czapki na głowie.

- Oddaj mi moją zgubę - prosił karzełek.

- Ejże! - odpowiedział Głomacz tłumiąc śmiech, aby go nie przestraszyć. - A cóż otrzymam za wspaniałą grochówkę, którą mi zjedliście?

- Otrzymasz dużo więcej, niż twa zupa była warta - rzekł karzełek - wpierw jednak oddaj mi czapkę.

- Chciałbym przedtem zobaczyć to, co mi ofiarujesz - przekomarzał się wieśniak.

- Zgoda, pójdź więc ze mną!

Zaciekawiony Głomacz podniósł się z miejsca. Obaj wąską ścieżką udali się w głąb lasu - do miejsca, gdzie stała gruba sosna. U jej podnóża leżały dwa wielkie głazy, oplecione gęsto korzeniami. Wśród nich widać było otwór podobny do lisiej jamy, prowadzący w głąb ziemi.

- Poczekaaj chwilę! - rzekł karzełek i zniknął w jamie. Po jakimś czasie wrócił niosąc w dłoniach wielki, złocisty bursztyn.

- Weź go sobie - powiedział karzełek.

Wieśniak trzymał w rękach drogocenny przedmiot i coś w myślał rozważał.

- Nie chodziło mi o nagrodę! - rzekł w końcu.

- Jeśli chcecie, możecie częściej jeść moją zupę. Starczy dla mnie i dla was.

- Skorzystamy czasem z twojej gościnności - odparł karzełek.

- Wiemy też, że w domu twoim nie przelewa się. Jeśli więc będziesz w potrzebie, przyjdź tu koło południa i krzyknij do jamy: pomóżcie ! Nie czynź tego jednak zbyt często, a przede wszystkim zachowaj w tajemnicy nasze spotkanie i w ogóle naszą znajomość.

Uszczęśliwiony wieśniak wrócił tego dnia wcześniej z pola i nic nie mówiąc żonie ani dzieciom udał się do Polanowa. Okazały bursztyn wzbudził wielkie zainteresowanie i Głomacz uzyskał za niego spora sumę pieniędzy.

Od tej pory stale pamiętał o karzelkach i za każdym razem, kiedy pracował w polu, stawiał swój obiad w zasłoniętym krzakami miejscu, aby nikt nie zakłócił spokoju jego dobroczyńcom. A kiedy spostrzegł, że karzelki jadły z jego garnka, wówczas cieszył się, ponieważ był to oczywisty dowód, że są mu przychylnie. Gdy zaś czasami potrzebował koniecznie pieniędzy na zakup inwentarza albo narzędzi - wówczas udawał się w pobliże starej sosny i wołał w głąb jamy: pomóżcie!

Za każdym razem jakaś niewidzialna ręka wyrzucała stamtąd piękny okaz bursztynu.

Mijały lata. Głomaczowi wiodło się dobrze i wszyscy w Przybrodzu uważali go za jednego z najlepszych gospodarzy. Trzeba też przyznać, że nie nadużywał dobroci karzelków, lecz nadal pilnie pracował - a do ich pomocy odwoływał się rzadko i tylko wówczas kiedy naprawdę był w potrzebie.

Pewnego razu oboje z żoną zostali zaproszeni na wesele do sąsiadów. Przy stole było bardzo wesoło, podpici weselnicy opowiadali sobie różne ucieszne opowiadki, a nierzadko chępli się ponad miarę swymi umiejętnościami i dostatkiem.

Głomaczowi również udzielił się panujący w izbie nastrój, czuł się na równi z innymi ważnym gospodarzem.

- Powiedzcie Głowaczowi - zagadnął go jeden z sąsiadów - jakże to sobie radzicie z gospodarką? Pamiętamy przecież, że kiedyś byliście biedakiem, a dziś ziemię macie nie najlepszą. A jednak wiecie wam się znacznie lepiej niż innym!

Głomacz pociągnął z dzbanka duży haust piwa, otarł usta i spojrzał z góry na pytającego.

- Trzeba mieć tu... ! - odparł ze śmiechem i plasnął dłonią w czoło.

Chępliwa odpowiedź Głowacza nie podobała się innym, choć sami o sobie wyrażali się podobnie.

- Jakże to? - odezwały się liczne głosy.

- Czyżbyście uważali siebie za mądrzejszego od nas?

- Nie o to chodzi - tłumaczył się pojednawczo.

- Może i nie jestem od was mądrzejszy, ale za to mam dobrych pomocników.

- Gdzie... jakich pomocników? - dopytywano się natarczywie, bo przecież wszyscy wiedzieli, że Głomacz żadnego parobka nie zatrudnia.

Podpity i zaplątany w swoje własne słowa, gospodarz tym razem nie potrafił utrzymać języka za zębami i mimo ostrzeżenia karzelków opowiedział sąsiadom całą historię z jedzeniem i bursztynami. Jednakże nikt mu nie uwierzył.

- Kpiny z nas robi, widocznie za dużo wypił - mówił jeden do drugiego, pokładając się ze śmiechu..

Urażony Głomacz podniósł się zza stołu.

- Mówię prawdę! - rzekł głośno. - Jeśli nie wierzycie, pójďte sprawdzić!

Wówczas zaciekawieni sąsiedzi odsunęli ławy i powstali z miejsc.

- Dobrze, pójdziemy!

W tej chwili Głomaczowi zrobiło się nieswojo. Zrozumiał, że niepotrzebnie dał się ponieść próżności i zdradził swych dobroczyńców, lecz nic już nie mógł poradzić.

Wszyscy gospodarze poszli wraz z Głomaczem do lasu. Kiedy znaleźli się pod grubą sosną w pobliżu otworu, jeden z sąsiadów krzyknął głośno: pomóżcie!

Wówczas na oczach zdumionych gospodarzy wyleciał w górę kawał bursztynu i upadł pod nogi wołającego.

- Nie do wiary! - rozległ się szmer podziwu.

Po nim spróbował inny z podobnym skutkiem. Gdy jednak trzeci zawołał: pomóżcie! - z głębi jamy odezwał się przytłumiony głos:

- Odejdź ! Na dzisiaj dosyć !

Niefortunnemu amatorowi bursztynów zrzęda mina. Poczł się zawiedziony i oszukany, a do tego jeszcze naraził się na śmiech. W porywie niepohamowanego gniewu zaczął wymyślać karzełkom oraz wrzucać do jamy gałęzie i kamienie. Jego prośby i groźby pozostały jednak bez odpowiedzi.

Od tego czasu karzełki przestały Głomaczowi pomagać. Próżno zostawiał jedzenie obok starej sosny, próżno wywoływał swych dotychczasowych dobroczyńców. Karzełki nie pokazały się więcej.

Tak bywa, gdy ktoś nie umie utrzymać języka za zębami.